

W najbliższą sobotę — 26 października w Teatrze im. J. Osterwy odbędzie się premiera widowiska pt. „Kochany Wilno! Wiwat Lwów” w państwa opracowaniu i reżyserii. Przedstawienie oparte na folklorze Lwowa i Wilna przygotowaliście państwo najpierw we wrocławskim „Kalamburze”, potem w Gdańsku, Lublinie, Chorzowie, Krakowie, Szczecinie. Czym będzie różniło się gorzowskie widowisko od tamtych?

Halina Dzieduszycka: — Folklor obu miast, a szczególnie Lwowa, jest bardzo bogaty. Sama zebrałam ponad tysiąc piosenek zrodzonych na ulicach tego miasta. Lwowianie siebie wyrażali zawsze w piosence, piosenką uliczną komentowali wielkie wydarzenia polityczne. Choć sama nie jestem lwowianką, związałam się z tym miastem przez męża. Wszystko co lwowskie ujmuję mnie uśmiechem, ja godnością, bezpośredniością, a przy tym swobodą wytwornością. Ten folklor znikał tam, we Lwowie, ale nie może zniknąć z polskiej kultury, bo jest jej znaczącą częścią. Dla tego od kilku lat penetrujemy ten obszar i przypominamy widzom, którzy przyjmują nasze propozycje z czułością, bawią się, śpiewają, nawet płaczą ze wzruszenia i dzięki tym piosenkom też chyba stają się trochę lepsi. Kształt widowiska uzależniony jest zawsze od możliwości

re są jego przetworzonym, a to cała Wesoła lwowska, a to część Mariana Hrynaka II. Przedstawienie będzie grane na Małym i Li przed wczoraj, które odbyło się przy stolikach. Robimy w tym czasie kabaret oparty na folklorze i rze pabejskiej.

● Jak się państwu pracuje w Gorzowie?

Wojciech Dzieduszycki: — Dyrektor Czarna stwarza nam wiele cenne ułatwienia a zespół jest niezwykle wytrwały. Codziennie mamy próby i to długie, a przy każdym dniu są grane przedstawienia. Myślę, że tak pracować przyczyną za czasów Schillera i Hoffmanna. Obecnie rzadko spotyka się w naszym zaangażowanie zespołu i pojedynnością muszą równać się wszyscy dobrze śpiewają.

— H. Dz. — I chętnie umiastę się ra dodatkowo próby.

● Skąd u pana, panie hrabia, ta interesowanie piosenką uliczną, a nie rodna twórczością lwowskich balladów? Przecież wrażliwość państwa w tym zakresie jest zupełnie innym kręgu kulturowym.

— Rzeczywiście w moim domu nie dzinimy tak się nie śpiewało. Piosenki lwowskie uliczne podczas wakacyjnych zajęć. Przez kilka lat nie uprawiałem sport, byłem walcem reprezentantem Polski w sztuce 100 m. Boisko, na którym

wych, niezmiernie zasłużoną dla kultury polskiej.

— Jerzy Dzieduszycki, koniuszy króla Władysława IV sprowadził do Polski konie arabskie. Moja rodzina zawsze była niezmiernie przywiązana do koni. Żyjący przed ponad wiekiem Juliusz Dzieduszycki zamarzył sobie, żeby jakiś malarz namalował portrety jego ukochanych koni ale żaden ze znanych malarzy nie chciał się podjąć takiego zadania. Pewnego razu mój dziad

ku Walki Zbrojnej. Byłem bity i torturowany przez Niemców. Pewnego razu do celi przyszedł elegancko ubrany mężczyzna, przedstawił się, że jest Holendrem, który związał się z Niemcami tylko po to, że by ocalić sztukę. Obiecywał, że małe wyciągnie z więzienia, jeśli ujawnię mu, gdzie są schowane olejne prace Kossaka. Uwierzyłem. Dałem mu adres mojego adwokata. On zabrał prace, a ja do końca wojny siedziałem w obozie koncetracyjnym. Z ogromnej kolekcji

● Jakże ma pan najwczesniejsze wspomnienia z dzieciństwa? Czy urodził się pan we Lwowie?

— Urodziłem się na Podolu, pod Stanisławowem, w małym rodziców. Od najwcześniejszych lat uczyłem się muzyki. Pamiętam, że przyjechał do nas kiedyś Ignacy Paderewski. Mama chciała, żebyśmy przed rano popisał się gra na skrzypcach, a sama zamierzała mi akompaniować. Ale Paderewski nie pozwoił. Usiadł do fortepianu i razem grałmy „Humoreskę” Dworzaka.

Hrabia Dzieduszycki i lwowskie ballady

podłuchał w izbie rozmowy dwóch młodych malarzy. Jeden dziwił się drugiemu, że nie chce malować ludzi, a tylko konie. Dziadek natychmiast odszukał tego malarza i otoczył opieką. Był nim Juliusz Kossak niezrównany portrecista koni. Ogromną była kolekcja obrazów olejnych szkiców i rysunków Juliusza Kossaka jaką posiadała nasza rodzina. Gdy w czasie wojny przepra-

prac Kossaka zostały mi tylko rysunki, które były w renowacji. Mam je w naszym wrocławskim mieszkaniu.

● Co się stało z innymi?

— Zbiory Dzieduszyckich zostały włączone do Muzeum Lenina we Lwowie. Mieliśmy również bogatą kolekcję prac Artura Grotgera. Kilka lat temu w Muzeum Narodowym we Wrocławiu organizowano wystawę prac tego artysty. Ze Lwowa udośćpniono szereg prac, a także inne związane z epoką. Ubażwił mnie podpis pod jednym z rodzinnych portretów: „Hrabina Dzieduszycka — ze zbiorów Lenina”.

● Niezwykłą kobietą była pańska matka — Ewa Dzieduszycka.

— Absolutnie niezwykła. Zdobywała szczyty w Alpach i Himalajach, z Zaruskiem pływała pod żaglami, jeździła na nartach, nie miała wstydu. Pierwszą kobietą sobie włożyła garson, zawsze szokowała zachowaniem i pogodą ducha. Niezmiernie wierzyła, że jutro będzie lepiej. Te pogody ducha przejąłem po mojej matce i myślę, że gdybym nie był takim optymistą, jak jestem, moje życie byłoby znacznie trudniejsze.

● Sztukę „W małym dworcu”, którą właśnie wykłada gorzowski teatr, czy się o pana domem.

— Po wybuchu pierwszej wojny moja rodzina znalazła się w Zakopanem, gdzie mieszkało wielu wybitnych artystów. Stałym gościem naszego domu był Stanisław Ignacy Witkiewicz. Moja matka była przeświadczona, że duchy na co dzień żyją wśród żywych. Właśnie ona z jej oryginalnymi poglądami stała się pierwowzorem Widma. W moim domu wystawiano sztukę Witkiewicza jako rodzaj zabawy salonowej. Byłem jeszcze za mały, żeby w tej zabawie uczestniczyć, ale mój starszy brat grał tam poecie, siostra i kuzynka były córkami, a matka — właśnie Widmem. Bawiono się tym tekstem, wzborgano go, a Witkiewicz podobno wiele z tych pomysłów włączył do tekstu.

Halina Dzieduszycka: — Bardzo mi się podoba gorzowskie przedstawienie, głównie ze względu na wizję plastyczną. Obserwuję jak porużają się młodzi.

● W wspólnie muzykowanie z wielkim Paderewskim jest jednym z moich najwspanialszych wspomnień.

● Przed wojną już występował pan na scenach operowych.

— Tak. Skonczyłem w konserwatorium klasę skrzypiec, dyrygenturę i wydział wołalny. Ponieważ ojciec bardzo zależał, żebym najmówił się polnictwem, na Wydziale Rolnictwa Politechniki Lwowskiej specjalizowałem się w budowie maszyn rolniczych. Miałem więc dwa zawody różne zawody. Oba przydały mi się w życiu, ale przed wojną zajmowałem się niemal wyłącznie muzyką. Byłem pierwszym tenorem w operze we Florencji, czes to występowałem we Lwowie, ale uwolniony wówczas pseudonim Albin Sas. Już miałem gotowy angaż do Warszawy, ale do niego nie dojechałem, teatr spalił.

● Po wojnie nadeszły lata drugiej wojny, dla pana, jak już wiemy, więc kłopoty i obóz.

— W Gross Rosen śpiew uratował mi życie. Była tam orkiestra, w której grałem, a w niedzielę przed oficjami komendantem obozu musicalu śpiewać arie. Najchętniej słuchał ari z „Toski”. Ale pewnego razu w ramach odpowiedzialności zbiorowej, za ucieczką kilku więźniów, na mnie wypadło, że mam iść do krematorium. Już ustawiono nas w kolumnę. Zobaczył to komendant. Rozpuścił mnie. Zapytał: „A kto mi zaśpiewa arie z „Toski” jutro po południu?”. Sasano mi wycofać się z kolumny. Następnego dnia rzeczywiście śpiewałem „Toskę”.

● Po wojnie, ze rządów stalinowskich, hrabiom też nie żyło się najlepiej?

— Byłem nawet przez 8 miesięcy więziony za szpiegostwo kulturalne. A to z tego powodu, że piosenki lwowskie szły z radia BBC. Potem się okazało, że to nie były moje piosenki, ale więzielnia nikt mi nie cofną. W latach powojennych wykorzystalem drugą specjalność. Nadzorowałem pod względem technicznym filmy na Dolnym Śląsku. Pracowałem 10 lat, ale strasznie szereżyła się tam korupcja, zaś bezpieczeństwo patrzyła mi na ręce. Uciekłem do nauki. Na Politechnice Wrocławskiej stworzyłem katedrę rysunku młynskich.

(Ciąg dalszy na str. 8)



ci i mezbucności zespołu oraz warunków scenicznych. Zapelnile mnie jest przedstawienie szczytnie w „Operze i Operetce” z udziałem 50 osób chóru, baletu i orkiestry, a inne będzie gorzowskie, w którym występują kilkunastu aktorów. Dla tego ograniczyliśmy się wyłącznie do folkloru, może na później pozostawiając te piosenki i skecze, które

trenowaliśmy znajdowało się na górnym Lyczakowie, w samym sercu betarijskiej dzielnicy. Nie mogłem pozostać obojętny na urodę piosenek. Zawsze je lubilem niezmiernie.

● Pomówmy chwilę o pana rodzinie. Dzieduszyccy byli przecież jedną z najbogatszych rodzin kiesz-

wiałem się nielegalnie przez granicę na Sanie, zabrałem ze sobą około 100 rysunków i tylko trzy małe prace olejne. Niebezpieczeństwo było zbyt duże, by przetranszować całą kolekcję. W trakcie przeprawy te kilka ta nieco mi się zmoczyła, kilka rysunków musiałem oddać w Krakowie do konserwacji. Tymczasem aresztowano mnie za udział w Związ-

Hrabia Dzieduszycki i lwowskie batiary

(Ciąg dalszy ze str. 5)

● I wówczas znów wrócił pan do kultury. W latach 60-tych niezwykle popularne były Państwa programy kabaretowe „Dymek z papierosa”, które jako pierwsze programy z Polski zdobywały serca emigrantów (londyńskie).

— To długi rozdział naszego z Hrabią życia artystycznego. Emigracja nie przyjmowała żadnych oddziaływań ówczesnej polskiej propagandy. Nam udało się wejść do tego środowiska nie tylko ze względu na moją osobę, ale przede wszystkim dzięki starym piosenkom. To były niezwykle spotkania z ludźmi sztuki, z generalicją. W Edynburgu, gdy Halina skończyła recytować wiersz o Warszawie, na scenę wszedł generał Maczek w mundurze, ukląkł przed nią i wręczył bukiet róż. To było coś światła. Z „Dymkiem z pa-

nierosa” byliśmy na trzech długich tournée w Stanach, dwa razy w Anglii, dwa we Francji.

● A potem z lwowskimi piosenkami zaczęliśmy podbijać wschód.

— W 1967 roku przygotowaliśmy we wrocławskim „Kalamburze” przedstawienie z lwowskich piosenek... A kto z nami trzyma sztafety? — Z tym przedstawieniem zostaliśmy zaproszeni do samego Lwowa, ale do bazy pracowników Energopoku, 12 km od Lwowa. O naszym pobycie lwowiaci dowiedzieli się nie z ukraińskiej, ale z polskiej telewizji. Zjeżdżali, czym kto mógł, do sali w barakach Energopolu, wreszcie wymusili na władzach pozwolenie na nasz występ we Lwowie w kawiarni „Pod Lwem”. Nie da się opisać tych owacji i tych do wodów wzruszeń, jakie nam Polacy ze Lwowa zgotowali.

● Czy wcześniej był pan we Lwowie?

— Nie. Świadomie nie chciałem jechać. W 1968 r. przez dwa tygodnie ponad plan śledziłem na Węgrzech, bo przez Czecho-Słowację nie można było przejechać... a przez Lwów nie chciałem. Bardzo dobrze pamiętałem Lwów sprzed wojny. Po wojnie w naszym pałacu Dzieduszyńskich urządzono siedzibę KGB. Podczas pierwszego przyjazdu najważniejsi okazali się ludzie tak zarliwie nas wyczekujący. Podczas drugiego pobytu, razem z operą wrocławską, podejmowano mnie jako wybitnego śpiewaka występującego na scenie opery lwowskiej. Ale wówczas już coraz wyraźniejsze stawały się wpływy Ukrainy.

● I naprawdę nie był pan tamtego, przedwojennego Lwowa?

— W domu, w którym teraz mieszkamy we Wrocławiu, przed wojną żyła pewna Niemka. Kilka lat

temu przyjechała zobaczyć ten dom. Zaprzyjaźniliśmy się, odwiedzamy ją w Wiesbaden. Ona do Wrocławia nie wróci i my do Lwowa też nie. We Lwowie zwyciężył żywioł ukraiński.

● Ale kulturę lwowską sterzy cię państwo z całą świadomością.

— Bo to była kultura polska. Nie wiele miast na świecie stworzyło własną, odrębną kulturę w piosence, tak jak to uczynił Lwów. Ten rozdział wart jest, aby uchronić go od zapomnienia, aby te piosenki pełne miłości i przywiązania do ukochanego miasta, pełne sentymenty ale i humoru, radości i bólu, przetrwały w pamięci nie jednego, lecz całe pokolenia Polaków.

● Dziękuję za rozmowę. Na pewno lwowskie piosenki nie zginą, przede wszystkim dzięki państwu.

Rozmawiała HANNA KAMIŃSKA